# POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ

Nr 7. | WARSZAWA, LIPIEC 1937 | ROK IV



# Przed „Tygodniem Morza"

Idea polskiego morza i wszelkich spraw z nim związanych, od chwili odzyskania przez nas wolnego dostępu do Bałtyku — z roku na rok w społeczeństwie wzrastała, z roku na rok pogłębiała się, poszerzała, wzmacniała, utrwalała.

Dziś można już śmiało stwierdzić, że społeczeństwo polskie dalekie jest od owych myśli nierozsądnych, które nie dozwalały mu na zwrócenia dostatecznej uwagi na korzyści z władania morza płynące.

Dzisiaj wiemy: że morze, to brama wypadowa na świat, to płuca wolnego państwa, to majątek niezależnego narodu. Dzisiaj wiemy: morza nie tylko bronić mamy, gdyby zaszła tego potrzeba, — ale też i przede wszystkim — chcemy poszerzać nasze władztwo morskie.

Bałtyk jest drogi sercom naszym, a jeśli nie wszyscy jeszcze pojęliśmy wartości gospodarcze, jakie nam własne morze daje, — to chyba przecież nie znajdziemy w Ojczyźnie naszej takiego Polaka, któremu Bałtyk byłby obcy uczuciowo.

Bałtyk władaniem swym objął serca wszystkich Polaków, bez względu na sferę społeczną, na stopień zamożności, na takie czy inne przekonania polityczne. Z radością można to stwierdzić: jeśli skłóceni jesteśmy na tym lub owym terenie, to morze polskie stanowi dla wszystkich nas tę najczystszą w intencjach płaszczyznę, na której — mimo wszelkich różnic — znajdujemy wspólne, święte, jednoczące nas porozumienie. Tu nasze troski są jednakie, zapał równie szlachetny.

Z jednakim, szczerym zainteresowaniem obserwujemy rozwój polskich spraw morskich i jednaki bierzemy w nich udział, chociażby uczuciowo. Rokrocznie zaś wzbiera narodowa fala morskiego entuzjazmu z nasileniem specjalnie wielkim, a dzieje się to w okresie dni, specjalnie morzu naszemu poświęconych.

„Święta Morza", od szeregu lat organizowane przez Ligę Morską i Kolonialną, a wypadające w dniu 29 czerwca, posiadają już swoją piękną i trwałą tradycję. Ten doroczny w naszym społeczeństwie moment zwracania szczególniejszej baczności na sprawy morskie, w roku bieżącym rozszerza się na kilka dni, mianowicie na termin od 27 czerwca do 4 lipca, noszący w tym roku nazwę „Tydzień Morza", przy czym punkt kulminacyjny, uroczyście obchodzony, przypada jak zwykle — na świąteczny dzień 29 czerwca.

Jakież są hasła tegoroczne, przez Ligę Morską i Kolonialną rzucone w społeczeństwo?

„Chcemy silnej marynarki wojennej i kolonij!" — oto zawołanie mocne, na które w okresie „Tygodnia Morza" odzew dać musi każdy dobry Polak.

Chcemy silnej marynarki wojennej, bo skoro z podatków naszych powstała Gdynia, skoro za krwawicę rąk naszych nabyte zostały polskie statki handlowe, skoro znojem trudu naszego zbudowano zalążki floty wojennej — to na straży naszych interesów morskich musi stanąć odpowiednia siła zbrojna. Gdyni, polskich statków handlowych i ich szlaków morskich muszą czujnie strzec gotowe na wszystko eskadry bojowe, bo nie wolno nam narażać na utratę to, co z trudem ogromnym zyskaliśmy. Silnego, zbrojnego — nikt nie ośmieli się zaczepić. Silna pięść gotowa do ciosu w razie napaści — to zapewnienie spokoju. Drzemiące wyloty potężnych dział okrętowych, gotowych do splunięcia ogniem i stalą, jeśli by komu przyszła chętka nas zaczepić — to właśnie jest najlepszą gwarancją, zabezpieczającą naród od wojny i jej nieszczęść.

Chcemy silnej marynarki wojennej i kolonij!— Silnej marynarki, bo Polska tylko silną mieć powinna, odpowiednią i godną wielkiego państwa, jego zamierzeń i celów. Chcemy kolonij — bo wzrastające bezrobocie wsi i miasta i kryzys, z którego jeszcze się nie wywikłaliśmy — zmusza nas do wzmożonej pracy w kierunku uprzemysłowienia kraju. Musimy zatem mieć wolny dostęp do źródeł surowców, musimy mieć nowe, wolne rynki zbytu. Z chwilą, gdy je zyskamy, automatycznie zwiększy się produkcja krajowego przemysłu, zmniejszy się bezrobocie, nastanie konieczność znacznego zwiększenia stanu posiadania floty handlowej; — przywóz surowców kolonialnych do Polski, stąd zaś wywóz gotowych produktów na rynki kolonialne, zatrudnienie rąk bezrobocznych w kraju i możność wyemigrowania nadmiaru ich do kolonij — oto konkretne zyski, wypływające z realizacji hasła: „Chcemy kolonij!".

Minęły czasy zbrojnego zdobywania kolonij; przykład Włoch i Etiopii był chyba ostatnim w naszej epoce. Ale ci, którzy mają nadmiar kolonij i którzy niewątpliwie sami będą zmuszeni do odstąpienia ich części narodom w tereny zamorskie uboższym lub nie posiadających ich zupełnie — oddadzą je tylko takim państwom, z którymi będą się liczyć i których przyjaźń będzie im potrzebna. Najwięcej zaś przyjaciół ma taki naród i takie państwo, które reprezentuje sobą dostateczną siłę zbrojną nie tylko na lądzie ale i przede wszystkim bodaj na morzu.

Chcemy silnej floty i kolonij! — Wszystkich nas najświętszym obowiązkiem narodowym jest, by własnym wysiłkiem przyczynić się do urzeczywistnienia tego hasła, do pracy nad jego realizacją, do głoszenia go nie tylko w okresie „Tygodnia Morza", — do składania wreszcie osobistych świadczeń materialnych, tak na Fundusz Obrony Morskiej (FOM), jak na Fundusz Akcji Kolonialnej (FAK).

J. Ursus

# Przeludnienie wsi a sprawa surowców

Nie jest już dziś tajemnicą dla nikogo, zarówno w kraju jak i zagranicą, że Polska wieś jest przeludniona do ostatnich granic.

Silny przyrost naturalny w Polsce sprawia przytem, że ten stan rzeczy stale się pogarsza, że więc na wsi polskiej coraz więcej ciąży ludności, która pragnie znaleźć zarobek i wyżywić się.

W poszukiwaniu dróg rozwiązania sprawy przeludnienia wsi, na której jak wiadomo znajduje się prawie trzy czwarte narodu, kierownicze władze nasze znalazły jedyne radykalne i możliwe do zastosowania dziś lekarstwo, mianowicie uprzemysłowienie kraju.

Tworzenie nowych ośrodków fabrycznych, rozbudowa już istniejących — stało się hasłem naczelnym. W tych bowiem nowych czy rozbudowanych warsztatach będą mogły znaleźć zarobek całe rzesze tych, którzy obecnie ciążą na wsi, przyczyniając się do jej zubożenia.

Ale przemysł wymaga surowców, z których dopiero wyrabia różne towary. Natomiast Polska jest w tym przykrym położeniu, że bardzo wielu surowców nie posiada u siebie, a więc musi je sprowadzać z zagranicy.

Polskie czynniki kierownicze poszły w rezultacie w dwuch kierunkach w walce o surowce, o ten niezbędny składnik każdej wytwórczości przemysłowej.

Z jednej mianowicie strony rozpoczęły energiczną akcję na terenie międzynarodowym zmierzając do sprawiedliwego podziału źródeł surowców, z drugiej zaś do czynienia wszelkich wysiłków, aby na rynku wewnętrznym w jak największej mierze zaspokoić nasze zapotrzebowanie surowcowe.

Na gruncie międzynarodowym Polska wysunęła się na czoło państw walczących o nieskrępowany dostęp do surowców. Nasi reprezentanci w Lidze Narodów dobitnie przedstawili nasze potrzeby i wykazali, że bez surowców Polska rozwijać się nie może. Jak wiadomo Liga Narodów powołała Komisję Surowcową, dla przepracowania całego problemu. W końcu czerwca b. r. obradowały 2 podkomisje, które postawiły odpowiednie wnioski Komisji Surowcowej.

Niewątpliwie trudno opierać wszystkie nadzieje na międzynarodowym rozwiązaniu.

Toteż zabiegając usilnie w Genewie o surowce, czynione są równocześnie ogromne wysiłki, aby w kraju uzyskać to co jest przemysłowi niezbędne. A więc z jednej strony akcja idzie w kierunku produkowania surowców, które niedostatecznie są u nas wyzyskane, z drugiej zaś do wyrabiania t. zw. surowców zastępczych.

Do kierowania całą akcją uzyskania surowców na terytorium Polski, powołana została swego czasu Komisja Surowców przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu.

Do jakich wniosków doszła komisja?

Oto np. sprowadzaliśmy dotychczas duże ilości drogiego ekstraktu quebrachowego, t. j. garbnika egzotycznego tak niezbędnego do wyprawiania skór. Obecnie dążyć się będzie do rozwinięcia krajowej produkcji ekstraktu dębowego przez odpowiednie uruchomienie dodatkowych warsztatów przetwórczych w okręgach bogatych w surowiec dębowy.

W dziedzinie włókienniczej chodziło o możliwie jak największe zastąpienie przywozu z zagranicy wełny, bawełny i juty. Postanowiono dążyć forsownie do wprowadzenia zastępczych surowców krajowych opartych przede wszystkim na rolniczej produkcji lnu i konopi, oraz na przemysłowej fabrykacji włókien sztucznych. Sztuczne włókna uzyskiwane są bądź z surowca opartego na celulozie, bądź też z kazeiny produkowanej z mleka.

Przemysł tłuszczowy będzie mógł obecnie posługiwać się w lwiej części już nie tłuszczami przywożonymi od obcych, lecz oprzeć się na produkcji krajowej nasion oleistych.

Jak wynika z przedstawionych tu kilku przykładów, Polska dąży do zaopatrzenia się w surowce nie tylko drogą uzyskania na terenie międzynarodowym dostępu do ich źródeł, lecz stara się i w kraju stworzyć bazę dla szeregu tych surowców.

Ta polityka szukania we własnym kraju niezbędnych surowców, będzie miała doniosłe znaczenie dla wsi polskiej, gdyż nie tylko umożliwi powstanie nowych działów wytwórczości zatrudniających rzesze bezrobotnych ze wsi, lecz również da rolnictwu nowe możliwości zbytu a więc i produkcji tych artykułów, które odtąd staną się podstawą szeregu przemysłów. Wzmożona uprawa lnu i konopi, wzmożona hodowla owiec, uprawa nasion oleistych — niewątpliwie przyczynią się do zapewnienia rolnictwu nowych dochodów.

Toteż cała akcja surowcowa w Polsce w rezultacie będzie miała decydujący wpływ na poprawę sytuacji w rolnictwie.

K. J

# Co chorąży Charczyński swoim sąsiadom opowiadał

Ojciec Charczyński dobrze był znany w swej wsi na Podlasiu. Wszyscy znali zażywnego, starszego gospodarza, w dnie świąteczne dumnie obnoszącego orderami obwieszoną pierś. Kiedy w niedzielę wchodził do kościoła, matki pokazywały go dzieciom: Patrzcie, to ten.

Ojciec Charczyński, gospodarz na kilkunastu morgach, nie darmo był chlubą Podlasia. Tak się jakoś stało, że za młodu, jeszcze za czasów niewoli, do marynarki rosyjskiej trafił i hen na Daleki Wschód odpłynął. Tam, służąc na pancerniku „Orzeł", wziął udział w słynnej bitwie pod Cuszymą, w której Japończycy pobili Moskali na głowę. Potem w niewoli japońskiej siedział, do Rosji wrócił, ze służby się zwolnił i na rodzimym Polesiu gospodarować zaczął. Gdy wojna wybuchła, dalej służył, aż gdy Polska wreszcie okowy niewoli zerwała, jeden z pierwszych w szeregi odrodzonej polskiej marynarki wojennej się zameldował.

Tu dopiero stary wilk morski pokazał co umie. Jako specjalista od torped i min całe pokolenia polskich marynarzy wykształcił, nie żałując im swej wiedzy, ni trudu, ni wysiłków. Kochali go podwładni i koledzy, szanowali zwierzchnicy. Aż wreszcie, po długich latach służby, chorąży marynarki Charczyński, Krzyżem Zasługi za pożyteczną i ofiarną służbę Rzeczypospolitej nagrodzony, odszedł w zasłużony stan spoczynku i ponownie, tym razem już na dobre, w rodzimej wsi osiadł...

Właśnie owej niedzieli, po nabożeństwie, na przyzbie siedział i kilku okolicznym włościanom o przygodach swoich w marynarce prawił. Kiedy wreszcie o bitwie pod Cuszymą i o zatonięciu „Orła" opowiedział, jeden ze słuchaczy w te odezwał się słowa:

— Powiedźcie nam ojcze, dlaczego Polska floty wojennej nie ma?

Zaperzył się na takie pytanie staruszek, i jak nie palnie:

— Kto wam mówił, że nie ma? Siedzicie w waszym zaścianku i o świecie Bożym nie wiecie, jak ta krowa w oborze... A ja to w czym służyłem. Nie we flocie polskiej?

— No tak, — odparł tamten pojednawczo, — nie chciałem przecież was urazić. Ale te kilka okrętów co tam podobno w Gdyni mamy, to bardzo mało. A już takich pancerników, jak ów „Orzeł", to podobno nie ma wcale...

— Mało, mało, — odburknął mu Charczyński. — A od kogóż to zależy żeby było dużo?.. Nie od was, nie od nas wszystkich może? Każdy naród ma taką marynarkę jaką chce mieć. Gdybyśmy jej znaczenie rozumieli i nie szczędzili wysiłków, dzisiejsza flota polska byłaby już potęgą. Ale i tak nie myślcie, że mamy znów tak mało. Mamy cztery wielkie kontrtorpedowce, szybkie i silnie uzbrojone, jak żadne inne na Bałtyku. Mamy pięć łodzi podwodnych, też wielkich i silnych — każda ma przeszło 80 metrów długości. Gdyby ją sztorcem postawić, byłaby dwa razy wyższa od naszej wieży kościelnej... No i mamy ze dwadzieścia innych okretów...



— Ale pancerników nie mamy, — upierał się tamten.

— Nie mamy, ale mieć będziemy, — gorąco odparł Charczyński. — Nie od razu Kraków zbudowany. Przecież piętnaście lat temu nie było jeszcze Gdyni, a dziś jest — to pierwszy port na Bałtyku. Przecież dziesięć lat temu nie mieliśmy marynarki handlowej, a dziś mamy pierwszorzędną, polskie statki chodzą do obu Ameryk — Północnej i Południowej. Może za pięć — sześć lat będziecie mieli i pancerniki, i krążowniki, jak każde wielkie państwo, które dostęp do morza posiada, z morza żyje i dzięki morzu w dostatki opływa. Przecież gdyby nie morze i handel morski, nigdy w życiu nie przełamalibyśmy kryzysu.

— To czemu owych okrętów nie budujemy?.. — spytał inny ze słuchaczy.

Chorąży spoważniał:

— Widzicie, moi złoci, aby zbudować flotę trzeba współpracy zgodnej całego narodu. Rząd sam floty nigdy nie zbuduje, tak jak nie zbudował jej król w dawnej Polsce. Bo wówczas tym bardziej naród nie rozumiał, że bez floty wojennej nie można ani bronić się w razie wojny, ani korzystać z dobrodziejstw pokoju. Nie rozumiał, że tu wielkiego wysiłku dla wspólnego dobra potrzeba. Dlatego właśnie Polska na sto pięćdziesiąt lat w niewolę poszła, bo odcięta od morza, przez obcych pośredników wyzyskiwana, za słaba była, aby się sama bronić mogła, za słaba też, aby z dalekimi sprzymierzeńcami łączność zachować.

No, a jak Polska na nowo powstała, to z początku też nie rozumiano tej potrzeby. Nie myślano, że my w ogóle coś na morzu zrobić potrafimy. I dlatego nasza marynarka wojenna ograniczyła się do kilku okrętów strażniczych. Ale dziś, gdy Gdynia i morze, to największe bogactwo Polski, to źródło potęgi państwa i dobrobyt narodu, dłużej się nam ociągać nie wolno. Polska musi mieć odpowiednią do swej potrzeby marynarkę wojenną. Może nie taką wielką jak Anglia, Francja czy inne mocarstwa morskie, aleć zawsze wystarczającą, aby morza polskiego bronić. Powtarzam — morza, a nie brzegu, jak to niektórzy myślą. Bo i co nam po brzegu, jeśli na morze wyjść nie będziemy mogli, bo tam obce okręty wojenne zaraz nasze statki handlowe potopią albo do niewoli wezmą...

— Ale taka flota to bardzo dużo kosztuje. — wtrącił któryś z gospodarzy. — A w Polsce bieda powszechna.

— Nie taka znów bieda, gospodarzu. Ot naprzykład mała, uboga, jałowa, bo tylko skały, jeziora a puszcze posiadająca Finlandia, potrafiła pobudować sobie dwa pancerniki, a i kilka łodzi podwodnych. Każdy Finn dał na to po 12 złotych rocznie, podczas gdy Polak na swoją flotę daje dziesięć razy mniej. Zresztą żaden naród nie bogacił się wpierw, a potem dopiero flotę budował. Przeciwnie — wpierw tworzył marynarkę wojenną, a ta dopiero dawała mu bogactwo i dobrobyt.

— Jakże to tak? — odezwało się kilka zdziwionych głosów.

— A tak. Nie sztuka budować flotę, jak się jest bogatym. Ot taka naprzykład Estonia, ma mieszkańców tyle co jedna nasza Warszawa, a przecież w tym roku trzy łodzie podwodne buduje. Dowód więc, że tam potrzebę floty rozumieją i nie czekają aż się naród wzbogaci... Bo inaczej nie tylko by się nie wzbogacili, ale przeciwnie niewolą i wojną ryzykować łatwo mogli.

— Przecież Rosja flotę miała, a jednak przegrała wojnę z Japończykiem? Sam pan opowiadał, — wtrącił uparty słuchacz.

— Nie rozumiesz acan o co chodzi, a gadasz! — obruszył się nasz chorąży już nie na żarty. — Pewno, że Rosja flotę miała, ale jaką? Okręty budowano od wypadku do wypadku, w zależności od fantazji jakiegoś wielkiego księcia czy dygnitarza. Każdy okręt był inny co do uzbrojenia, pancerza, szybkości, zasięgu... Już sami marynarze rosyjscy nazywali flotę tę — zbiorem „samotopów". A znów marynarze ci, źle wyszkoleni, częstokroć poniewierani, i przez nieodpowiednich oficerów dowodzeni, — cóż mogli na owych „samotopach" zrobić? Najwyżej umrzeć z honorem, jak też i wielu uczyniło...

Tymczasem u Japończyków było wręcz odwrotnie. Na 30 lat przed wojną rosyjsko - japońską, Japonia floty w ogóle jeszcze nie posiadała i była krajem obcym europejskiej cywilizacji. Tam wówczas nawet parowych statków nie było, a cóż dopiero okrętów wojennych. Ale wnet zrozumiano w kraju, że Japonia zginie i podzieli los różnych ludów australijskich, to znaczy podzielona będzie między mocarstwa europejskie, jeśli nie zabezpieczy się w porę. Stworzono więc wojsko i flotę na sposób europejski wyćwiczone. Ale przecież floty nie tworzy się tak szybko jak wojsko, — trzeba lat całych aby zbudować okręty i wyćwiczyć marynarzy. Japończycy to potrafili.

Ubogi, na pół dziki kraj, ludzie, którzy nigdy nie widzieli okrętów wojennych, nie widzieli maszyny parowej czy armaty, — wzięli się do ofiarnej pracy z wielkim zapałem. Pierwsze okręty zbudowano wprawdzie za granicą, ale już po kilkunastu latach zaczęto budować je w Japonii. Ówczesny premier ministrów japońskich, gdy mu przeciwstawiano, że nie można czynić tak wielkich wydatków, bo to zuboży kraj, odpowiedział: **Będę budował pancerniki, choćby cały kraj miał żyć rozwodnioną zupą z ryżu. Bo tego właśnie wymaga dobro państwa i narodu.** I wybierajcie: albo rozwodniona zupa dziś, a potem potęga, dobrobyt i bogactwo powszechne, albo dziś pełne brzuchy, ale jutro nędza i niewola!..

Trzeba przyznać, że naród japoński umiał



wybrać. Nie poszedł na lep samolubnych haseł i zrozumiał gdzie jego właściwy interes leży. Wnet też budowa okrętów wojennych poprawiła stan gospodarczy kraju, boć przecież tysiące ludzi znalazło przy tym pracę. A potem owa, tak stworzona flota, wywalczyła Japonii dwa wielkie zwycięstwa: W roku 1894 nad Chinami i w roku 1905 nad Rosją, którą przecież za niezwyciężoną wszyscy uważali. Dziś Japonia — to trzecia na świecie, po Anglikach i Amerykanach, potęga, to państwo silne, jakiego w Europie nie masz, to naród skromny, ale któremu nic nie brakuje: ani chleba, ani wolności. Rozumiecie?.

— Rozumiemy, rozumiemy, — odparł chór słuchaczy.

— Ot co, — kończył chorąży Charczyński swoje opowiadanie. — Przez morze i flotę do wolności i dobrobytu się idzie. Kto tego nie rozumie, ten nie godzien być obywatelem wolnego kraju. A jeśli się jakich bliższych szczegółów dowiedzieć chcecie, to napiszcie do Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ona wam przyśle czytanki i książeczki, z których pojmiecie jasno co nam robić trzeba, aby i Polska stała się rychło tak potężną, jak owa Japonia.

**Kapitan Nemo.**

# Jak wygląda gospodarstwo rolne w Paranie

## III.

Z roślin okopowych uprawia się w Paranie ziemniaki, bataty słodkie, maniok i tajowę.

Ziemniaki w Brazylii należą do artykułów zbytku, dostępnych tylko dla ludzi zamożnych. Wpływa na to szereg okoliczności, jak to, że ziemniaki udają się tylko w południowej najchłodniejszej części Brazylii, że szybko się wyradzają i że wymagają one więcej pracy, niż uprawa innych roślin.

Większość kolonij japońskich w stanie San Paulo swój wysoki dobrobyt zawdzięcza wyłącznie uprawie ziemniaków. W kolonii Cotia (Kotia) np. Japończycy niczego innego poza ziemniakami nie uprawiają i uczynili ze swoich gospodarstw istne fabryki kartofli. Wśród polskich kolonistów w Paranie uprawa ziemniaków zaczyna również odgrywać coraz poważniejszą rolę i staję się źródłem dopływu żywej gotówki.

Sadzić ziemniaki należy na ziemiach możliwie żyznych. Plony zbiera się dwa do roku. Pierwsze sadzenie odbywa się w sierpniu lub wrześniu, drugie — w styczniu.

Bataty są rodzajem słodkich ziemniaków, udają się doskonale wszędzie i są bardzo wydajne. Pod względem wielkości bulwy batatów



znacznie przewyższają największe odmiany kartofli, dochodząc nieraz do 5 — 7 kilogramów wagi. Uprawa batatów jest bardzo łatwa i polega na sadzeniu w ziemi kawałków łodyg co 40 centymetrów w rzędach odległych o 60 centymetrów, przy czym górna część łodygi winna wystawać ponad ziemię. Łodygi batatów ścielą się po ziemi i mają po parę metrów długości.

Batatów się nie sprzedaje a kopie się tylko na własny użytek, głównie na pokarm dla świń, aczkolwiek pokrajane w plasterki i przysmażone na smalcu stanowią smaczną potrawę i dla człowieka.

Maniok jest rośliną ogromnie rozpowszechnioną w całej Ameryce Południowej, jak również w Afryce. Korzenie maniaku zawierają truciznę, która przy gotowaniu i suszeniu ginie. Maniok udaje się dobrze nawet na glebach najmniej urodzajnych, wymaga tylko ziemi zoranej pługiem i pulchnej. Uprawa łatwa.

Maniok posiada łodygę wysokości od 100 do 180 centymetrów i grubości dużego palca u ręki. Otóż w chłodny słoneczny dzień na początku tamtejszej zimy w miesiącu maju ścina się łodygę nożem przy samej ziemi, ogołaca się z liści, składa się w dole w suchym miejscu, trochę przykrywa się słomą i przyspuje ziemią, ażeby zabezpieczyć łodygi przed przymrozkami. Na wiosnę w miesiącu wrześniu tnie się przechowane łodygi na kawałki o długości 10 centymetrów i te kawałki sadzi się w ziemię w odległości jednego metra, przy czym muszą być przykryte ziemią w całości. Maniok jest rośliną dwuletnią. Korzenie jego długości do 80 centymetrów mają grubość ramienia i zawierają dużo krochmalu. Z pod jednego krzaka osiąga się do 15 kilogramów korzeni. Mąka maniokowa stanowi doskonałe pożywienie dla ludzi. Jedna z kolonij polskich w Paranie — Garauna koło miasta Ponta - Grossy, mająca ziemie b. ubogie, cały swój dobrobyt zawdzięcza maniokowi. Urządzenia bowiem dla przeróbki manioku nie kosztują wiele i zwykłego koloni-

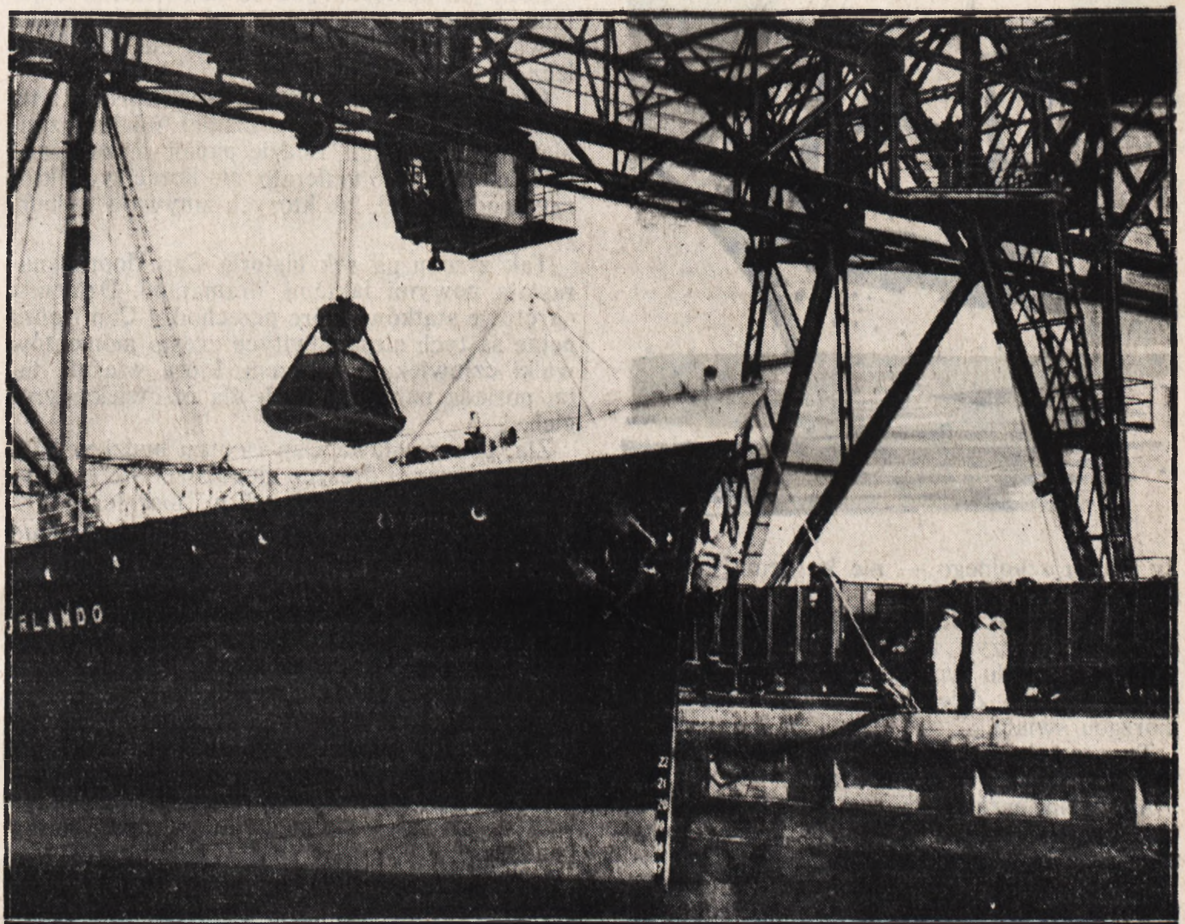
stę stać na budowę t. zw. młynu maniokowego.

Tajowa, szerokolistna roślin o wysokości do 1 metra służy wyłącznie za paszę dla świń. Wśród kolonistów polskich mało rozpowszechniona. Uprawiają ją głównie na północy Parany.

Strączkowe, jak groch, soczewica, udają się doskonale. Grochu prawie się nie sieje, natomiast uprawa soczewicy rozpowszechnia się, gdyż nie podlega szkodnikom i ma zapewniony zbyt po cenach stałych.

Rekord pod względem wydajności bije gryka, gdyż daje aż trzy plony do roku. Najwięcej sieją jej koloniści z Małopolski. O roślinach oleistych w następnym numerze.

**Michał Pankiewicz.**




# „Dar Pomorza" przebywa Cap Hoorn

Wśród statków polskiej marynarki handlowej miejsce szczególne zajmuje „Dar Pomorza", jeden z najpiękniejszyc żaglowców świata. Rola szczególna, jaką statek ten pełni w polskiej marynarce handlowej polega na tym, że co roku na statku tym kilkudziesięciu młodych chłopców, przyszłych oficerów marynarki, zapoznaje się z zawodem marynarskim.

„Dar Pomorza" udając się w dalekie morskie podróże ćwiczebne idzie najczęściej do tych portów, w których nigdy nie była jeszcze polska bandera. Stąd wypływa pionierski charakter jego podróży.

Wszyscy doskonale pamiętają wspaniałą podróż „Daru Pomorza" naokoło świata, kiedy po raz pierwszy w dziejach Polski bandera polska opasała kulę ziemską.

Zresztą, gdyby zsumować ilość przebytych już przez „Dar Pomorza" mil morskich w czasie jego szkolnych, ćwiczebnych podróży — to suma jaką się w ten sposób otrzyma równać się będzie siedmiokrotnej długości równika ziemskiego — innymi słowy „Dar Pomorza" przebył odległość równą siedmiokrotnej podróży naokoło kuli ziemskiej.

Jeśli po sławnej podróży naokoło świata każdy prawie rozumiał wielki sukces „Daru Pomorza" — to równie wielki sukces ostatniej podró-



ży statku szkolnego — nie każdemu jest wiadomy.

Nic dziwnego. Jesteśmy jeszcze lądowcami, a ostatni wyczyn żeglarski „Daru Pomorza" należy do rzędu tych wartości, które oceniać można jedynie dzięki znajomości żeglugi po morzach świata.

Tym ostatnim sukcesem „Daru Pomorza" jest opłynięcie przylądka Hoorn.

Ale zanim przejdziemy do opisów właściwości Hoornu — należy wspomnieć o trasie ostatniej podróży „Daru Pomorza".

Ostatnia trasa „Daru Pomorza" prowadziła z Gdyni przez Atlantyk do Kanału Panamskiego. Pierwszym miejscem, gdzie „Dar Pomorza" zatrzymał się była wyspa St. Thomas. — „Dar Pomorza" był już kilkakrotnie poprzednio zapraszany przez gubernatora tej wyspy.

Po przebyciu kanału Panamskiego — statek udał się do wysp Galapagos, skąd wyruszył do jednej z najpiękniejszych wysp świata — do Tahity.

Po krótkim postoju na Tahity, wyspie radości, słońca i kwiatów — „Dar Pomorza" wyruszył w podróż powrotną do kraju, ale tym razem czekał go najtrudniepszy odcinek trasy do przebycia — opłynięcie Cap Hoornu — przylądka Ameryku Południowej.

Cap Hoorn posiada pośród żeglarzy świata ponurą opinię. Historia żeglugi świata notuje w pobliżu przylądka śmierć niejednego statku, koniec nie jednej kapitańskiej kariery.

Historia Cap Hoornu rozpoczyna się już od roku 1616, gdy dwaj marynarze holenderscy Le Maire i Schutten odkryli, iż ląd Ameryki Południowej oddzielony jest od lodów arktycznych względnie szerokim przejściem.

Pierwszym żeglarzem, który przeszedł Cap Hoorn ze wschodu na zachód był Rogers Woodes. Podróż jego dookoła przylądka trwała 22 dni. Rogers Woodes sądził że trafił na wyjątkowo niepomyślny okres niepogody.

Lecz już następna podróż angielskiego kapitana Ansona wyprowadziła go z błędu. Anson bowiem przechodził Cap Hoorn nie 22 dni — lecz 92.

Oto co pozostało się w zapiskach Ansona z tej podróży: „Górne marsle (żagle) miałem zwinięte przez 58 dni. Ludzie padali ze znużenia. Codziennie 6 — 8 umierało, nie licząc tych, którzy spadali z rei, lub których zmywało za burtę..."

Tak z roku na rok historia Cap Hoornu narastała nowymi faktami, dramatami. Dzienniki okrętowe statków, które przechodzą Cap Hoorn pełne są tych niesamowitych często momentów walki człowieka z morzem, które właśnie tutaj posiada najwięcej cech dla człowieka wrogich.

Zła, ponura sława Cap Hoornu budzi w każdym marynarzu dreszcz niepokoju. Oto co czytamy w jednej z książek o Cap Hoornie:

„Wielu oficerów i marynarzy przechodziło Cap Hoorn 10, 20 i 30 razy, jednak najbardziej zahartowani i odważni doznawali nieprzyjemnego dreszczu, przechodząc 50 równoleżnik szerokości południowej. Nie wielu żaglowców przeszło Przylądek bez mniejszych, lub większych awarii, jednak każdy uważał to przejście za wymowną próbę swej wytrzymałości i za najgroźniejszego wroga swego rodzaju." Na tym najtrudniejszym w żegludze świata szlaku, — gdzie statki i kapitanowie albo ginęli lub okrywali się sławą — nie pojawiła się nigdy polska bandera.

I dlatego szczęśliwe opłynięcie Cap Hoornu przez statek szkolny „Dar Pomorza" ma cechy wielkiego wydarzenia w naszej skromnej historii żeglugi.

Mimo, iż los był przyjazny dla naszego statku — przejście Cap Hoorn miało chwile bardzo trudne i niebezpieczne, a w sercach komendanta statku kpt. K. Maciejewicza, oficerów, załogi i uczniów pozostawiła wspomnienie prawdziwie marynarskiego przeżycia.

„Dar Pomorza" już daleko na Pacyfiku przygotowywał się do niebezpiecznej żeglugi.

Przygotowano grube, długie liny, w tym celu, aby w razie duże fali można było je wypuścić z rufy za burtę. Duża fala powoduje utratę sterowności statku, a liny wypuszczone w tej sytuacji za burtę zmniejszają możliwość zepchnięcia statku w bruzdę fal. Nad nadburciem przeciągnięta została prowizoryczna siatka, zrobiona z grubych lin. Siatka miała zabezpieczyć ludzi od wyniesienia przez falę za burtę. I im bardziej statek zbliżał się do tego groź-

nego miejsca żeglugi coraz bardziej drobiazgowo przygotowywano się do wszelkich możliwości. Przeniesiono posterunek sterowy bliżej środokręcia, zabezpieczając w ten sposób sterników i samo urządzenie sterowe od zmycia za burtę. Żagle i liny zamieniano na najnowsze i najmocniejsze. Te drobiazgowe przygotowanie czyniono nie tylko w myśl morskiej zasady, że do walki z morzem trzeba przygotowywać się z jaknajwiększą skrupulatnością, lecz również i dlatego, gdyż na „Darze Pomorza" znajdowało się przeszło 60 młodych członków, którzy poraz pierwszy na pokładzie statku wypłynęli na morza.

Nadeszły wreszcie tak długo oczekiwane chwile niebezpieczeństwa. Nie były one jednak tak groźne, mimo, iż przy mijaniu Cap Hoornu pokład cały czas zalewany był przez fale, że mocny wiatr wiał z gradem i śniegiem. W pewnych chwilach nadbudówki były białe od śniegu.

Ale oddajmy głos jednemu z kandydatów Szkoły Morskiej, który odbywał swoją pierwszą podróż, p. Józefowi Kubickiemu.

„Już kilkaset mil przed osławionym przylądkiem spotkały nas gwałtowne szkwały, zmienne wiatry i nie przewidziane na naszych mapach prądy. Fale przybierały na wielkości, już tu zaczęły się trudności z jedzeniem. Normalny posiłek stał się niemożliwym, stoły i ławy zaczęliśmy zawieszać na linach, tak, że obiad jadło się nie raz mając nogi zwrócone w stronę burty, ale i tak często przez jakiś nieostrożny ruch, cały nasz obiad, niestety często wraz z nami znajdował się na pokładzie. Wreszcie oczekiwany Hoorn. Wita nas on naprawdę godnie, na spotkanie wysyłając sztormowe wiatry i jeszcze bardziej wzrastające fale. Dawniej tak przyjemne służby na sterze i na oku tracą zupełnie na uroku. Na sterze zamiast dwóch staje nas pięciu, jesteśmy przywiązani do steru linami, „Oko" mormalnie mogące swobodnie poruszać się po baku zostaje przywiązane do burty, z powodu fal, które co chwila obmywają pokład mocząc wszystko po drodze. Służba ta jednak jest niezbedna z powodu spotykanych tu gór i pól lodowych. Często też zostajemy alarmowani krzykiem, że widać światło. Alarmy te jednak okazywały się fałszywymi. Przez pokład przeprowadziliśmy liny, żeby umożliwić chodzenie, ale i tak często ktoś traci równowagę, zjeżdżając do waterwejsu z fontannami wody. Oczekiwany Hoorn staje się trochę zbyt uciążliwy. Noc też mało przynosi ulgę. Myli się ten, kto myśli, że po odbyciu wachty, w ciepłych hamakach mamy idealny spokój. Wszystkie rzeczy w naszych apartamentach, choć przymocowane, wydają przy ciągłych przechyłach hałas nie do zniesienia, do tego nie ma się pewności, czy jakiś stół czy ława nie okażą się zbyt słabo przymocowane i nie przerwą nam snu w sposób dość brutalny. Każdy cieszył się jednak, że duża szybkość, jaką mieliśmy, pozwoli nam na szybkie przejście niegościnnych stron. Wreszcie minęliśmy 57° szerok. poł. Każdy odetchnął. Sen mieliśmy mniej nerwowy, lecz kulminacji niestety nie minęliśmy, dwie wachty nie mające służby wywołuje na pokład gwizdek i gwałtowna bieganina. Hoorn wysłał jeszcze za nami szkwał tzw. „Snorters", który rwie nam bom kliwer, oraz dwa bramy, które gwałtowny wiatr nie pozwolił na czas zwinąć. Na szczęście wspólnymi siłami spuściliśmy grot żagiel oraz górne marsle, przez co osłabiliśmy napór wiatru, co ochroniło nas od losu duńskiego statku szkolnego „Kopenhaga", który zginął gdzieś bez śladu na tych wodach".

Po przebyciu niegościnnych wód Cap Hoornu „Dar Pomorza" skierował się do portu Buenos Aires, do którego zawitał po raz pierwszy w dziejach polskiej bandery. Postój w Buenos Aires nie trwał zbyt długo.

Statek wyruszył wreszcie w podróż powrotną do kraju, by po krótkim postoju w Kopenhade przycumować się w Gdyni, w swym macierzystym porcie.

W niedługim czasie statek szkolny „Dar Pomorza" rozpocznie krótkie rejsy po Bałtyku, aby w jesieni wyruszyć w inną ćwiczebną podróż z kandydatami do Szkoły Morskiej.

Jak dotąd towarzyszyć mu będą nasze serdeczne myśli — i wdzięczność dla całego statku, że w świat daleki niesie dzielnie barwy narodowej bandery, zaś dla komendanta statku kpt. Kontantego Maciejewicza, oficerów i załogi — wdzięczność nie tylko za wielkie sukcesy żeglarskie, lecz za trud wychowywania młodych chłopców — przemieniania ich z cywilów na marynarzy.



# Liga Morska i Kolonialna na wystawie

## „Praca i kultura wsi" w Liskowie

W kierunku południowo-wschodnim, w odległości 30 km od Kalisza, w woj. łódzkim — znajduje się wieś Lisków.

Z szosy Łódź — Kalisz koło Opatówka, słynnego przed wojną z fabryki najlepszego w Polsce sukna, skręcamy na wschód i wpadamy na szosę pięknie utrzymaną, wysadzaną drzewami owocowymi.

Jakaś zaczarowana chyba okolica — w całej Polsce urodzaje liche — tu wszystko pięknie wygląda: ozimina, jarzyny, okopowe, wreszcie koniczyny bujnie rosną tak, jakby tu właśnie koło tego Liskowa nie było tej srogiej bezśnieżnej zimy, tak jakby brak deszczów wiosennych i susza polom tym nie dawała rady.

Zapoznawszy się bliżej z warunkami pracy gospodarstw tamtejszych — znajdujemy odpowiedź na te jakby czary, bo to, że w okolicy Liskowa nie jest tak źle z urodzajami jak gdzie indziej w Polsce, zawdzięczać trzeba kulturze, jaka w tej okolicy panuje.

Kultura w pracy, kultura w obejściu i kultura w pożyciu domowym i społecznym cuda takie czyni.

Bo też Lisków był podobno zakazaną dziurą od Boga i ludzi zapoznana. Do tej to więc wsi, jakby za karę jaką na wygnanie wysłano na parafię do dziś dnia tam przebywającego, obecnie już prałata — Blizińskiego. Ks. Bliziński za zadanie wielkie i zaszczytne dla siebie poczytał, przekształcić psychikę tego ludu liskowskiego i wyprowadzić ten lud z nędzy moralnej i materialnej.

Ks. Bliziński walczył i zwyciężał, bo dziś Polsce niepodległej Lisków i praca ludzi liskowskich znajduje zrozumienie i całkowite poparcie polskich władz administracyjnych, Gdy w Polsce zaczęło się mówić o kulturze wsi polskiej — nic też dziwnego, że Lisków stał się wzorem tej kultury.

Aby umożliwić dziesiątkom tysięcy ludności wiejskiej z całej Polski przyjrzenie się zbliska i zetknięcie się bezpośrednie z możliwością wprowadzenia kultury na wieś polską, w Liskowie została zorganizowana wystawa p. t. „Praca i kultura wsi", wystawa ta poza działem ściśle rolniczym, a więc produkcji rolnej i zwierzęcej, działem społecznego ruchu na wsi — uwzględnia dział pracy społecznej na wsi, w którym to dziale znalazła swoje miejsce i działalność Liga Morska i Kolonialna.

Liga Morska i Kolonialna w programie wychowania morskiego społeczeństwa kładzie duży nacisk, aby wychowaniem morskim również objąć szerokie masy wiejskie, ponieważ cała akcja morska i kolonialna ściśle wiąże się z losami wsi polskiej i dobrobytem jej mieszkańców.

Wystawa w Liskowie, jako zobrazowanie „pracy i kultury wsi" musiała przeto uwzględnić w swoim programie i dorobek pracy LMK.

W oddzielnym pawilonie LMK wyróżniającym się swą barwnością i charakterem rozmieszczone zostały eksponaty, które dają pojęcie o rozmiarach pracy w zakresie morskim i kolonialnym i wskazują na możliwości udziału w rozwoju tej pracy szerokich mas wiejskich.

W eksponatach, obrazach, wykresach — pokazane są te wszystkie momenty, które składają się na całość prac Ligi.

LMK przystąpiła do praktycznego zapoznawania się z warunkami pracy i życia w krajach zamorskich, organizując w Liberii—(Afryce), plantacje własne, i w Paranie (Brazylia — Ameryka Południowa) własne osadnictwo, przystąpiła do uświadomienia społeczeństwa, że nadmiar ludności w Polsce i mały dochód poszczególnego obywatela zmusza nas do tego, aby pomyśleć o możliwościach wynalezienia nowych warsztatów korzystnej pracy poza granicami kraju.

Liga na terenie społeczeństwa zbiera pieniądze na Fundusz Obrony Morskiej, aby za nie budować tak potrzebne do obrony naszej marynarki handlowej, Gdyni — i całego kraju, okręty wojenne.

Pierwsza łódź podwodna, zbudowana za te drobne często składki społeczeństwa, już niedługo spłynie na wodę.

I wreszcie na tej wystawie pokazany został cały szerek innych gałęzi pracy morskiej, w których żywy udział bierze Liga Morska i Kolonialna.

**W. Niwiński.**

# Studnia na dnie

Żelazne drzwi przy wyciągu elektrycznym pchnięte energicznie zamknęły się z trzaskiem. Adam Czerwian, porucznik marynarki wojennej, zgrzytnął zcicha zębami, wspomniawszy w tej chwili na mały kartonik wpięty w drucianą siatkę drzwi, a opatrzony wiele mówiącym napisem: „Uprasza się nie trzaskać drzwiami, zwłaszcza w nocy". Napis ten własnoręcznie wypracował nerwowy komandor, zajmujący mieszkanie na parterze tuż obok elektrycznego wyciągu.

— Fatalny dzień... — mruknął porucznik i prawie biegiem wypadł na ulicę jakby w ucieczce przed jakimś nieznanym nieszczęściem.

A dzień był tylko mglisty. Szara opona chmur zwisała nisko nad dachami kamienic.

Porucznik skierował się w stronę wojennego portu, rozmyślając po drodze o fatalnym dniu. Ha-no, marynarze są trochę zabobonni. Ze szczerą, a niekiedy wprost dziecinną wiarą i niefrasobliwym zaufaniem w Opatrzność Boską łączą kult ku wsławionym przez tradycję przesądom. Porucznik Czerwian był taki sam, jak i inni jego młodzi towarzysze. Łacno więc już zrana, zaraz po przebudzeniu się, uznał, że dzień zapowiada się jako niezwykle uciążliwy. Przede wszystkim mimo dobrze przespanej nocy odczuwał dziwne, a wysoce nieprzyjemne odrętwienie mięśni w całym ciele. Poprostu był zmęczony. Niedziwota zresztą. Poprzedniego dnia zawinęła do portu i przycumowała się przy molo wojennym łódź podwodna O. R. P. „Nurt" po 10-dniowej pod-

róży ćwiczebnej. W skład załogi wchodził Czerwian w charakterze oficera broni podwodnej. Podczas podróży, zaraz w pierwszym dniu po wyjściu w morze, zdarzyło się, że zachorował zastępca dowódcy, a przyjaciel Czerwiana, porucznik Horko. Objawami choroby były: gorączka, senność, brak apetytu i ogólne zmęczenie. Czerwian objął funkcje kolegi ot tak, na parę godzin, aż mu „to" przejdzie. Lecz „to" trzymało się Horki przez pełne 10 dni i skończyło się po powrocie odesłaniem pacjenta do szpitala. Czerwian zaś przez 10 dni spełniał podwójne obowiązki, z których jednak wywiązywał się ku zupełnemu zadowoleniu mrukliwego dowódcy. Niedziwota więc, że się źle czuł.

Nie zgłębiał jednak przyczyn złego samopoczucia. Naciskiem woli „przełamał" zmęczenie. Szybko poderwał się z łóżka i z pośpiechem zaczął się ubierać. Teraz jednak okazało się, że dzień, który wydawał się uciążliwym, jest właściwie złym, szkaradnym dniem. Nic nie leżało na „swoim" miejscu. Pantofle po długich, gorączkowych poszukiwaniach znalazły się wreszcie za tapczanem; ręcznik znikł z umywalni, aby później podczas śniadania ukazać się na klamce od drzwi; w szufladzie z bielizną, tam gdzie zwykle mieściły się porządnie złożone ręczniki, leżały szerokie prześcieradła, urągliwie błyskając nieskazitelna bielą. Natrysk w łazience nie działał. W pudełku na spinki od kołnierzyka spoczywała samotna stalówka, natomiast kupa spinek niefrasobliwie bytowała na etażerce, sprytnie ukryta w błękitnej muszli z Capri. Kawa była synonimem ukropu, a zapalniczka zabłysła żółtawym płomykiem dopiero wówczas, gdy ciśnięta została na podłogę. Tak jest, był to dzień o barwie smoły, najfatalniejszy z cyklu fatalnych dni.

I w takim to dniu należało podjąć poszukiwania żyroskopu, który wczoraj przy przenoszeniu na ląd wpadł w morze. Smutny ten wypadek był też również dziwny jak i niezrozumiały. Po przybiciu do portu z rozkazu dowódcy łodzi miano odnieść na ląd żyroskopy do wyregulowania, gdyż w najbliższej przyszłości spodziewany był przegląd dywizjonu łodzi podwodnych przez dowódcę floty i połączone z tym ćwiczebne strzelanie. Żyroskopy, jako cenny sprzęt, przenosił z łodzi na molo sam bosman - torpedysta. Gdy z ostatnią sztuką przechodził po trapie łączącym łódź z molo, w połowie drogi wyleciała mu z ręki skrzynka z żyroskopem i z cichym pluskiem nurknęła w morze. Stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że bosman stracił ze zdumienia możność ruchów i tylko dlatego nie rzucił się łbem na dół dla natychmiastowe poszukiwania. Zresztą wszyscy byli niepomiernie zdumieni. Nawet zwykle małomówny dowódca łodzi wyraził zdziwienie, ale zarazem i gniew kilkoma dosadnymi przekleństwami. Zarządzono poszukiwania, ale bezskutecznie. Podoficer - nurek zeszedł w kafandrze na dno i po półgodzinnym myszkowaniu między molem, a łodzią, wróciwszy na pokład, stwierdził prawie z płaczem, że nic... Nic tylko muł i muł.... Bezradne milczenie, które po tej relacji zapanowało na pokładzie przerwał dopiero dowódca łodzi.

— Dzisiaj już nie będziemy prowadzić dalej poszukiwań. Wieczór się zbliża... — rzekł spokojnie. — Ale jutro pan, panie poruczniku — tu zwrócił się do Czerwiana — osobiście podejmie poszukiwania. Żyroskop musi się znaleźć!..

Rozważywszy po raz setny wypadek, Czerwian doszedł do wniosku, że jednak żyroskop nie musi się znaleźć. Przy wszelakiego rodzaju poszukiwaniach niepoślednią rolę odgrywa szczęście. Dużo zależy od dnia. A dzisiaj...

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach doszedł do portu.

Nad lasem masztów rozbrzmiewał zwykły zespół dźwięków. Muzyka portu. Jękliwe zgrzyty dźwigów, przeciągłe, smętne pogwizdy syren, głuche stuknięcia, a nad tym wszystkim jednostajny, przytłumiony turkot, niewiadomego pochodzenia, tak, jakby ktoś sypał z worów ziemniaki na deskę.

Na pokładzie „Nurtu" powitał Czerwiana chorąży meldunkiem, że wszystko do podjęcia poszukiwań gotowe. Tak zresztą na oko wyglądało. Części ubioru nurka leżały już na pokładzie, koło zwoju lin sterczało dwóch marynarzy i bosman - mat z sondą w ręku. Z kiosku wystawała czapka marynarza - telefonisty, który obsługiwał aparat telefoniczny, łączący nurka z pokładem. Po rufie, obok grupki marynarzy wolnych od zajęć, wałęsał się sprawca nieszczęścia, bosman - torpedysta i od czasu do czasu przesuwał osłupiałym spojrzeniem po gładkiej tafli, brudnej, zielonkawej wody, w miejscu gdzie znikła skrzynka z żyroskopem.

Porucznik zszedł do kajuty, aby przebrać się w ciepłą, wełnianą bieliznę.

Chorąży zaś rzekł w stronę bosman - mata:

— Nie znajdzie się... Nie ma nadziei... Widać to z miny porucznika.

— Nie znajdzie się. — z głębokim przekonaniem powtórzył bosman - mat. — Ja przecież szukałem...

— Urwał nagle, bo w drzwiach od kajuty ukazała się głowa porucznika, nakryta miękkim, czerwonym beretem, który zabezpiecza od ucisku hełmu.

Podczas, gdy dwaj marynarze pomagali porucznikowi przy wkładaniu skafandra, do chorążego przystąpił bosman - torpedysta i po raz niewiadomo który zaczął szczegółowy opis wypadku.

— Tyłem przeniosł i nic... Dopiero ostatni wyleciał, jakby mi go ktoś z ręki wydarł... — skończył i zapadł w ponure zamyślenie.

— Tak, tak — mruknął chorąży tonem dość obojętnym.

Marynarze przy linie podjęli ciekawy dyskurs na temat „co będzie na obiad". Telefonista uważnie przeglądał port, jakby się w nim dopiero po raz pierwszy w życiu znalazł.

Czerwian uczuł się dziwnie samotny. Właściwie same poszukiwania nikogo nie interesują. Dowódca okazuje swoje desinteressament, nie zjawiwszy się nawet na pokładzie. Chodzi mu tylko o wynik: „Żyroskop musi się znaleźć".

Z rozdrażnieniem w głosie zwrócił się Czerwian do bosmata:

— Sonda?...

— 10 metrów głębokości, panie poruczniku.

— Na 5-ciu metrach — pierwsza stacja admiralicji.

— Rozkaz, panie poruczniku!..

W tej chwili marynarz przytknął do hełmu pokrywę i kilkoma zręcznymi obrotami dokręcił ją szczelnie przy czym w okrągłej szybce z grubego szkła mignęła jego twarz, pełna skupienia i uwagi. Porucznik sprawdzał działanie aparatu tlenowego, wentyla odpływowego i ruszył w stronę trapu, prowadzony przez marynarzy.

Bosmat ujął „manilówkę", która w pasie u porucznika kończyła się „węzłem bezpieczeństwa", wypuścił kilka skrętów „luzu", przygotowując się do spuszczania nurka na dno. Do pomocy miał dwóch marynarzy, chłopów krzepkich i zręcznych.

Gdy porucznik schodził po stopniach trapu wybłysło zza chmur słońce. Mosiężne poręcze trapu zalśniły złotem, a w plamach oliwy i smarów na nieruchomej toni zamigotały barwne ogniki.

Przez moment zdawało się Czerwianowi, że ołowiany balast na piersiach nie odpowiada co do wagi butlom z tlenem na plecach. Lecz nie zdołał już z tego spostrzeżenia wyciągnąć wniosków, gdyż w tej chwili pokryła go płynna jasność. Zjeżdżał wolno na linie w ciemnawą głębię. Miła dla oka jasność otoczenia ustępowała barwie spalonej słomy, w którą wnikały srebrzyste bryzgi, wywołane ruchami jego ciała.

Nagle — stop. Zatrzymał się. „Aha, pierwsza stacja admiralicji". — pomyślał. Chwilę zabawiał się, poruszając nogami w wodnym odmęcie, wreszcie ruchem głowy nacisnął kontakt dzwonka telefonicznego i rzucił rozkaz:

— W dół!..

Równocześnie począł spływać niżej. W miarę zanurzania się barwa głębi zmieniała się, aż na dnie otoczyła go chłodna zieleń, przyprószona nalotem matowego światła, które przesączało sę przez zwały wód.

Za każdym krokiem wzbijały się spod ołowianych podeszew gęste kłęby czarnego mułu i wlokły się w leniwych skrętach tuż nad dnem. Pole widzenia do 3 metrów było dobre.

Czerwian powoli zataczał małe koła w okolicy miejsca gdzie przypuszczalnie powinna znajdować się skrzynka z żyroskopem i uważnie przeglądał dno, pozostawiając za sobą ciemne smugi mułu. Ruchami jego kierowano z pokładu. Znaczniejsze odchylenia od miejsca poszukiwań prostowały ostrzegawcze szarpnięcia linki.

Po kilkuminutowym, bezowocnym krążeniu, gdy cała okoliczna przestrzeń dna pokryła się czarną płachtą namułu, Czerwian przystanął dla chwilowego odpoczynku. Sięgnął ręką do boku i zgrabiałymi z zimna palcami przekręcił kurek od aparata tlenowego. Świeży napływ tlenu wzmocnił go znacznie.

Równocześnie na granicy pola widzenia w gęstej siniźnie mignął jakiś czarny zygzak.

„Węgorz..." — pomyślał porucznik i mimowolny dreszcz obrzydzenia przeniknął go nawskroś.

Bezmyślnie postąpił kilka kroków w bok i niespodzianie runął w ciemną otchłań. Otoczyła go nieprzenikniona czerń. Gwałtowna zmiana głębokości wywołała nieprzyjemne strzykanie w uszach. Ręce odruchowo poszukujące punktu zaczepienia gmerały w lodowatym, śliskim namule, budzącym wstręt i odrazę.

Gwałtownym zwrotem głowy nacisnął Czerwian kontakt dzwonka telefonicznego i krzyknął:

— Ciąg w górę!...

Lecz cóż-to?!.. W przypływie trwogi serce załomotało mu w piersi uderzeniem młota. Zamiast oczekiwanego ruchu w górę, odczuł tylko szerpnięcie i ucisk w pasie. Lina wciągała go zwolna w mulistą ścianę. Ucisk w pasie potężniał z każdą chwilą pozbawiał oddechu i wywoływał ból.

Błyskawicznym ruchem sięgnął do pasa, aby doskonale wyćwiczonym pociągnięciem rozwiązać węzeł bezpieczeństwa i uwolniwszy się od zdradzieckiej liny, po zamknięciu otworu odpływowego w hełmie przy pomocy „własnego" powietrza wypłynąć na powierzchnię. Równocześnie posłał rozkaz na pokład:

— Dać luz!...

Ciąg liny zwolniał. Lecz w tym samym ułamku sekundy, gdy sięgał do pasa, zlodowaciałe palce natrafiły w oślizgłym namule na jakiś twardy przedmiot... Skrzynka z żyroskopem!..

W mgnieniu oka w napływie radości zapomniał o niebezpieczeństwie. „Zadanie spełnione". — to myśl, która wypełniła go całkowicie, sprowadzając zarazem niezwykłą jasność umysłu i dziwny spokój wewnętrzny. W położeniu swym nie znajdował już żadnej zagadki. Wiedział, że wpadł w wąską, a głęboką studnię, która prawdopodobnie pozostała po pogłębiarce, pracującej ongiś tutaj obok mola. Zrozumiał także, że nie wydostanie się z niej przy pomocy liny, gdyż ta naprężona przy ciągnieniu przecina mulisty grunt linią prostą od jego pasa do rąk marynarzy na pokładzie. Porzucił również pierwotny zamiar uwolnienia się od liny i wykonania skoku na powierzchnię przez zamknięcie odpływu powietrza. Albowiem mogło zdarzyć się i to, że, zaczepiwszy o cokolwiek w ścianach jamy, zostanie uwięziony podczas ruchu w górę, a wówczas razem z nim przepadnie i żyroskop. Postanowił własnymi siłami wydostać się z pułapki.

Mocno ujął metalowy uchwyt na wieku skrzynki z żyroskopem i wbijając, szeroko rozstawione nogi w ściany studni, powoli i z mozołem gramolił się w górę. Po wykonaniu kilkunastu wycieńczających poruszeń, gdzieś, jak mu się zdawało, w połowie drogi, zatrzymał się dla odpoczynku, umocniwszy się w ścianach na wyprężonych nogach. Wyczuwał pod hełmem niepokojącą duszność i strużki gorącego potu, spływające po twarzy. Wolną ręką sięgnął do zakrętki od aparatu tlenowego i... zmartwiał na mgnienie oka. Pod naciskiem drżących palców zakrętka ani drgnęła..

Natychmiast z gorączkowym pośpiechem podjął wspinaczkę...

Pod hełmem stawało się coraz duszniej...

Gdzieś pod czaszką zadudniły młoty krwi...

Ogarnęła go obłędna chęć, aby odrzucić przeklętą skrzynię z żyroskopem, która ciężyła mu coraz mocniej, aż do bólu w ramieniu pod obojczykiem.

Kilka gwałtownych, ostatnim wysiłkiem dokonanych ruchów, wreszcie światło. Nie był jednak pewien, czy przerażająca ciemność naprawdę się skończyła, czy mu się tylko tak zdaje.

Zacisnął kurczowo palce na metalowym uchwycie skrzynki, który parzył dłoń jak ogień i nie odwiązując liny, zamknął wentyl odpływowy.

Jak balon, wydęty powietrzem, wychynął na powierzchnię.

Szczątkami świadomości rozeznał marynarzy, którzy rytmicznymi ruchami wybierając linę, holowali go do trapu. Na ostatnim stopniu stał bosman - torpedysta i z niecierpliwością wyciągał ręce.

Powietrza!.. Na miły Bóg!..

Uniósł z ogromnym wysiłkiem ramię w kierunku wyciągniętych rąk bosmana, lecz ten nachylił się i chciwym ruchem wprost wydarł mu z drugiej ręki skrzynkę z żyroskopem.

Krwawe centki zamigotały przed oczyma porucznika i rozpłynęły się w białej mgle, która z ogłuszającym szumem nadciągnęła gdzieś z poza granicy świadomości...

Ocalał i jednocześnie zadanie spełnił.

# Kolonie dla Polski

Dla każdego gospodarza na wsi nie ma dzisiaj większej bolączki od sprawy, co robić z dziećmi.

Dla gospodarza dwu czy pięciomorgowego sprawa ta przedstawia się tragicznie, ale i 10-cio lub 15-to morgowego nie wygląda różowo. Po podziale gospodarstwa, na każde dziecko przypada po dwa - trzy morgi; za mało — ażeby żyć, za dużo — ażeby umrzeć.

Dawniej, ten, któremu źle się powodziło w kraju rodzinnym, mógł szukać pracy i chleba za granicą.

Przed wojną z całego obszaru Państwa Polskiego wyjeżdżało rocznie do samych tylko Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej około 200 tysięcy osób, a na roboty rolne do Niemiec wędrowało rok rocznie około 500 tysięcy tak zwanych obieżysasów.



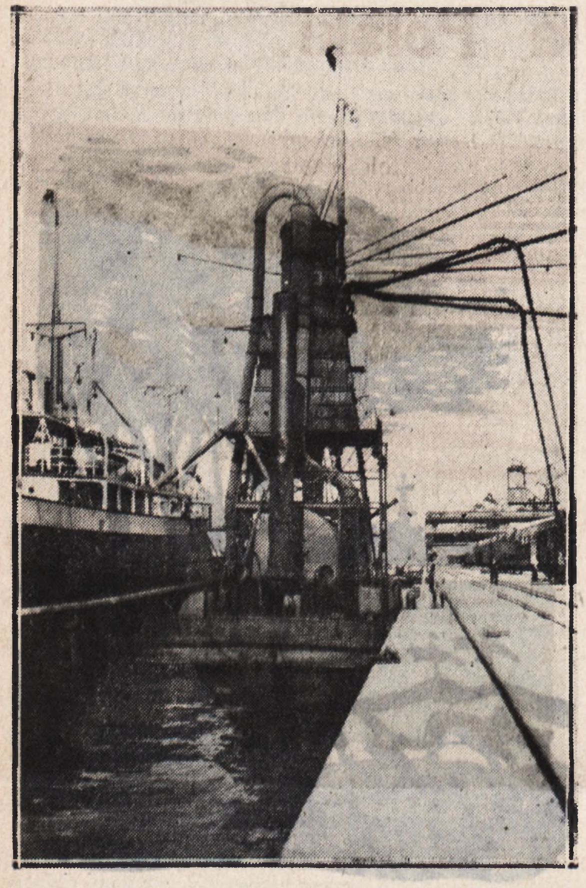
Nawet czas jakiś po wojnie emigracja, pomimo zmniejszonych znacznie rozmiarów, odgrywała dużą rolę w życiu naszej wsi. Wystarczy przytoczyć, że do roku 1930 dwadzieścia tysięcy obieżysasów z powiatu wieluńskiego przysyłało lub przywoziło ze sobą około 10 milionów złotych rocznie oszczędności. Dzisiaj z tego źródła nie wpływa do powiatu ani grosza. Niemcy mają dużo swoich bezrobotnych, nie wiedzą sami co z nimi robić i dlatego zamknęli swoje granice przed napływem robotników cudzoziemskich.

Tak samo w Stanach Zjednoczonych bezrobocie jest olbrzymie i rząd amerykański powprowadzał takie ograniczenia dla przychodźtwa z Europy, że z Polski z wielkim trudem zaledwie tysiąc osób rocznie przedostaje się do tej wielkiej republiki.

Szukając lekarstwa na biedę wsi i brak pracy w miastach, Liga Morska i Kolonialna rzuciła hasło wywozu towarów zamiast ludzi czyli uprzemysłowienie kraju, wzmożenia produkcji i dotarcia z polskim towarem do wszystkich krajów zamorskich. Na tę drogę oddawna wkroczyły narody zachodnio - europejskie i osiągnęły piękne rezultaty. Wszędzie na zachodzie dobrobyt tych narodów Anglików, Francuzów czy Belgów powstawał, rósł i opiera się na handlu zamorskim.

Ażeby móc wywozić towar, trzeba go pro-





*Pływający elewator zbożowy*

dukować tanio i dobrze. Robotnika mamy dobrego, taniego i chętnego do pracy, węgla także mamy dość, ale brakuje nam w Polsce całego szeregu najważniejszych surowców, jak bawełny, wysokoprocentowej rudy żelaznej, nasion oleistych, kauczuku i innych.

Za te surowce musimy płacić drogo i płacić obcymi walutami, na skutek czego znajdujemy się w warunkach znacznie gorszych od takiej Francji czy Anglii, która surowce sprowadza z własnych kolonij bez żadnego obcego pośrednictwa i płaci za surowce we własnej walucie. Przemysł tkacki w Polsce zatrudnia największą ilość robotników (około 114 tysięcy). Poza Łodzią, Białymstokiem i Bielskiem, dla których to miast tkactwo jest podstawą istnienia, spotykamy fabryki tkackie lub przeobrażające przędzę prawie w każdym większym mieście polskim, np. w Częstochowie, Sosnowcu i t. p.

Za surowce włókiennicze, sprowadzone do Polski, w jednym tylko 1935 roku zapłaciliśmy 253 milionów złotych, z czego na samą bawełnę czyli watę przypada 114 milionów złotych. Przeciętnie za tysiąc ton bawełny płaciliśmy około 2 milionów złotych. Tymczasem jeden z moich znajomych, znajdujący się w dalekim Paragwaju pisze pod datą 27 lutego bieżącego roku, że zajmuje się skupem bawełny, produkowanej tam przez polskich kolonistów, dla jednej z wielkich firm w Buenos Aires i że ma nadzieję zakupić około 4 tysięcy ton, za które zapłaci około 1 miliona pesów argentyńskich czyli około 1 miliona 650 tysięcy złotych.

Bawełnę, zakupioną od kolonistów, oczyszcza się, prasuje w bele i wysyła do Europy. Być może, niejedna z tych bel zawędruje do Polski, ale po jakiej cenie?

Trudno w tych warunkach naszym perkalom i batystom konkurować z francuskimi czy angielskimi, produkowanymi z bawełny, zakupionej we własnych koloniach bez obcego pośrednictwa i za własną walutę. Gdybyśmy mieli jakiś kraj zamorski, nadający się do uprawy bawełny i innych surowców kolonialnych, wówczas np. taki przemysł tkacki można byłoby podwoić i potroić. Zamiast 114 tys. robotników byłoby ich 342 tys. obok Łodzi, Białegostoku i Bielska, powstałby szereg innych ośrodków przemysłowych, towar polski na polskim statku wędrowałby do Ameryki, Azji i Afryki, zmalałoby bezrobocie, zmniejszyłaby się nędza na wsi i tragiczne pytanie rolnika polskiego, co robić z dziećmi, straciłoby znacznie na swojej ostrości.

Synowie gospodarscy, którymby było za ciasno na wsi, mogliby iść do miast i tam znajdować zatrudnienie.

Domagajmy się przeto wielkim głosem:

**KOLONIJ DLA POLSKI!**

---

**Dzień 16 lipca — to rocznica tragicznej śmierci gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, prezesa Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej.**

**Kim był nasz wielki Przywódca, co zdziałał i ku czemu prowadził, a nade wszystko ile woli twórczej wkładał w duszę polskiego społeczeństwa, by Polska stała się państwem morskim i kolonialnym — wiemy to wszyscy.**

**Toteż pierwsza rocznica śmierci gen. Orlicz-Dreszera winna być obchodzona szczególnie uroczyście.**

**Przez żywą pamięć dla wielkiej postaci i zasług gen. Orlicz-Dreszera, w r. ub. powstał i działać począł „Komitet Uczczenia ś. p. generała Gustawa Orlicz-Dreszera".**

**Staraniem Komitetu w licznych miejscowościach na terenie całego kraju odbyło się szereg akademij, wieczorów i odczytów, poświęconych działalności Generała. Jednocześnie Komitet zbiera wśród społeczeństwa ofiary, które wynoszą już około 60.000 zł, w pierwszym rzędzie rozpoczęta zostanie budowa grobowca-mauzoleum na Oksywiu, na który już został rozpisany konkurs.**

**W dniu 16 lipca, w smutnych uroczystościach tej pierwszej żałobnej rocznicy winni wziąć udział wszyscy członkowie Ligi Morskiej i Kolonialnej.**

# Z kraju i ze świata

**Wzrost wywozu polskich towarów do krajów zamorskich.** Już w roku ubiegłym zaznaczył się pewien wzrost wywozu polskiego do krajów zamorskich. Pierwszy kwartał r. b. wykazał dalszy wzrost, gdyż w tym czasie wywieziono do krajów zamorskich ogółem towarów za sumę przeszło 62 i pół miliona złotych, czyli za sumę dwa razy większą, niż w tym samym czasie roku ubiegłego. Wzrósł zwłaszcza wywóz polski do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dokąd wywieziono w pierwszym kwartale r. b. za sumę 32 milionów złotych, czyli za sumę trzy razy większą, niż w pierwszym kwartale r. ub.; dzięki temu wywóz z Polski do Stanów Zjednoczonych przewyższył przywóz z tego kraju i to o 4 miliony złotych, co się zdarzyło po raz pierwszy od czasu nawiązania stosunków handlowych między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Wzrósł także nasz wywóz do Japonii, Palestyny, Argentyny, Brazylii, Persji, Indyj Holenderskich i Brytyjskich.

★

**Wystawa „Pracy i kultury wsi" w Liskowie.** W dniu 8 czerwca została otwarta w Liskowie wystawa p. n. „Praca i kultura wsi", której celem jest wykazanie wysiłku gospodarczego i społecznego polskiej wsi. Wystawa nie jest też tylko wystawą rolniczą, ale daje obraz wyników, osiągniętych i w innych dziedzinach życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego. W otwarciu wystawy wzięli udział liczni przedstawiciele rządu i organizacyj społecznych z premierem gen. Sławoj - Składkowskim oraz min. J. Poniatowskim i min. M. Kościałkowskim na czele.

★

**Wizyta P. Prezydenta Rzplitej w Bukareszcie.** W dniu 6 czerwca P. Prezydent Rzplitej wyjechał z oficjalną wizytą do Rumunii, gdzie był podejmowany niezmiernie uroczyście i serdecznie przez całe społeczeństwo rumuńskie z królem Karolem II. na czele. Wymiana wizyt, jaka miała ostatnio miejsce między Rumunią a Polską: wizyta min. Becka w Rumunii, przyjazd następcy tronu wojewody Michała do Warszawy, wizyta P. Prezydenta w Bukareszcie i rewizyta króla Karola II, która nastąpiła w końcu czerwca r. b. jest dowodem dalszej rozbudowy sojuszu polsko - rumuńskiego. Sojusz ten, zapoczątkowany przez Marszałka Piłsudskiego, ma charakter obronny i jest poważnym czynnikiem trwałej równowagi i pokoju w Europie środkowo - wschodniej.

★

**Kongres Młodzieży Wiejskiej.** W dniu 20-go czerwca rb. odbył się w Warszawie Kongres Centralnego Związku Młodej Wsi. Na Kongres ten z różnych stron Polski zjechało już w sobotę 19 czerwca około 20.000 młodzieży, która rozłożyła się obozem na Polu Mokotowskim. W niedzielę rano odprawiona została msza polowa, której wysłuchał wraz z wielotysięcznym tłumem Marszałek Śmigły - Rydz. Następnie odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru i wygłoszona została deklaracja ideowa przez prezesa Związku. Marszałek Śmigły - Rydz po krótkim, serdecznym przemówieniu odebrał defiladę zastępów młodzieży wiejskiej, która przeszła przed nim w barwnym korowodzie grup regionalnych.

★

**Otwarcie Wystawy Paryskiej.** Od szeregu miesięcy w Paryżu prowadzone były prace przygotowawcze dla otwarcia wielkiej Międzynarodowej Wystawy, w której mają wziąć udział wszystkie niemal państwa i kraje celem wykazania swego dorobku i bogactwa zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i w zakresie nauki, sztuki i postępu wiedzy technicznej. Budowa Wystawy napotykała na różne przeszkody, wreszcie jednak w dniu 24 maja prezydent Republiki Francuskiej Lebrun dokonał uroczystego otwarcia pierwszych pawilonów. 101 strzałów armatnich obwieściło światu otwarcie Wystawy. Pawilon polski został otwarty w dniu 17 czerwca.

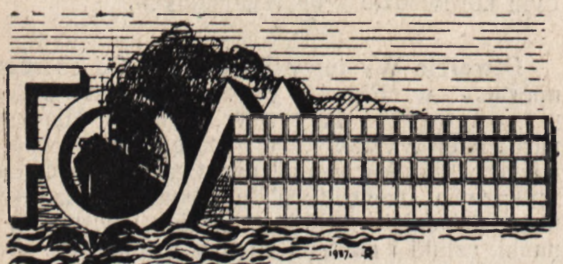
★

**Proces marsz. Tuchaczewskiego.** W dniu 11 czerwca przed sądem najwyższym Z. S. S. R. odbyła się rozprawa sądowa przeciwko 8 generałom sowieckim z marsz. Tuchaczewskim na czele, oskarżonym o zdradę państwa. Oczywiście, jak we wszystkich tego rodzaju procesach w Sowietach, nie tylko udowodniono winę wszystkim oskarżonym, ale oni sami do tej winy się przyznali. Tegoż samego dnia zapadł wyrok, skazujący ich na śmierć przez rozstrzelanie. Proces marsz. Tuchaczewskiego i jego towarzyszy jest dalszym ciągiem rozgrywki między Stalinem, a wewnętrzną opozycją partyjną. W rozgrywce tej usuwani są przez Stalina powoli ale systematycznie wszyscy starzy i zasłużeni działacze bolszewiccy, którzy w odmienny od Stalina sposób patrzą na to, jak należałoby urzeczywistniać w Rosji program Lenina.

★

**Otwarcie portu rzecznego w Płocku.** W dniu 13 czerwca r. b. nastąpiło uroczyste poświęcenie i otwarcie portu w Płocku. Jest to jeden z największych w Polsce portów rzecznych na Wiśle. Ma on obsługiwać przede wszystkim Łódź, której towary, dzięki znacznie tańszemu przewozowi drogą wodną, będą mogły lepiej konkurować z towarami innych krajów za granicą.

# Rozrywki umysłowe



W rzędy pionowe zamieszczonego rysunku należy wpisać **dziewiętnaście pięcioliterowych wyrazów** o podanych niżej znaczeniach. Pierwszy i trzeci rząd poziomy (odczytane kolejno) dadzą właściwe rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

**Znaczenie wyrazów:**

1. Piekło, królestwo cieni. 2. Wielbiciel. 3. Monarchia absolutna rządzona w Indochinach. 4. Samica jelenia. 5. Muza pieśni miłosnej. 6. Zarekawek aktualny w zimie. 7. Figiel. 8. Imię sułtanów tureckich. 9. Podziemia. 10. Kupno w jęz. obcym. 11. Chorwat. 12. Waćpani, waszmość pani. 13. Znajduje się w każdym domu. 14. Obszar gruntu nie wyzyskany. 15. Narzędzie rolnicze. 16. Część maszyny elektrycznej. 17. Następstwo, skutek, wrażenie. 18. Pisarz rosyjski. 19. Liczebnik zbiorowy od oba.

**„Morsy" (Piastów).**

Za rozwiązanie logogryfu Redakcja „Polski na Morzu" przeznacza 5 wartościowych nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązania logogryfu upływa **28 czerwca 1937 r.** Rozwiązania nadsyłać pod adresem Redakcji z dopiskiem: **„Rozrywki umysłowe".**

ROZWIĄZANIA

**„Polska na morzu" Nr. 4 — Kwiecień 1937.**

**4. Rebus.**

— TROP (wspak) na OM (wspak) — ŻUBR „a" ma na ŚWIAT — co po wygładzeniu, „na czysto" już — wygląda następująco:

**„Port na morzu — brama na świat!"**

Rebus bezbłędnie rozwiązało 98 osób. W rezultacie nagrody książkowe otrzymują:

1. **Jachowicz Ryszard** — W-wa 22, Raszyńska 44 m. 48.
2. **Ottenbreit Wanda** — Toruń, Słowackiego 43 m. 5.
3. **Marszałkowski Fr.** — Sopoty, W. M. Gdańsk — Adolf Hitlerstrasse 735.
4. **Orlicki Michał** — Bojanowo (Pozn.) pow. Rawicz.
5. **Pokora Józef** — Grudziądz, Nadgórna 57a m. 4.

Nagrody niebawem wysyłamy pocztą; prosimy o potwierdzenie odbioru.






PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE
Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10, telefony: red. 290-95, admin. 6-99-66.
WYDAWCA: Liga Morska i Kolonialna REDAKTOR: Henryk Sikorski
Druk Zakł. Graf. „Dom Prasy" S. A., Warszawa, Marszałkowska 3.